

Stanisław Moryto - syn Tadeusza, wnuk Jana

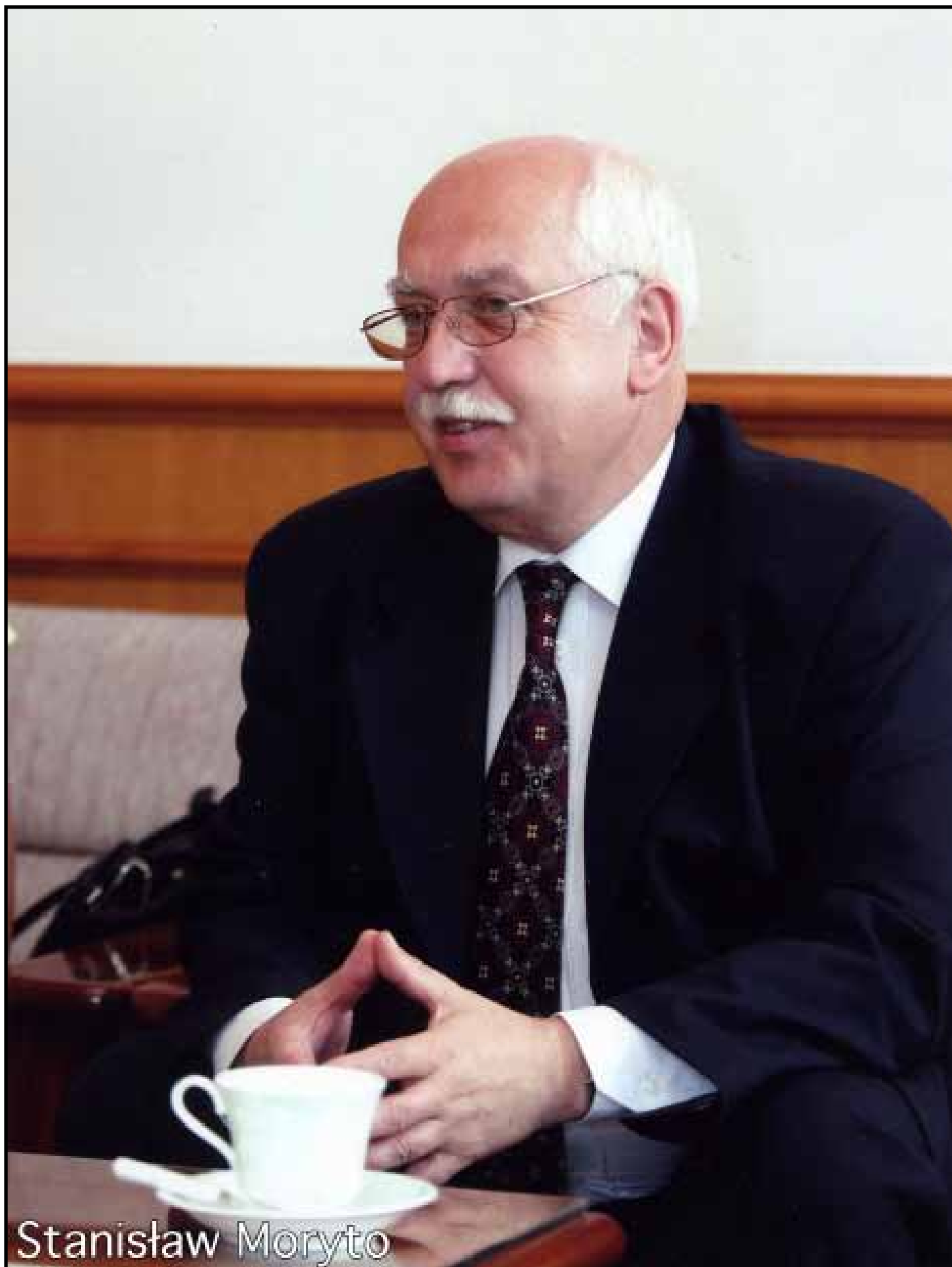
Od chwili poznania Stanisława Moryty nie mogłem się powstrzymać od zapytania o rodzinne związki z Łąckiem, gdzie się urodził 8 maja 1947 r. I chociaż z powodu wielu obowiązków rektora wyższej uczelni w stolicy ma mniej czasu na odwiedziny rodzinnej miejscowości, nie zapomina o swoim rodowodzie. Stanisław Moryto jest synem Tadeusza, założyciela w 1946 roku w Czerńcu znanej Orkiestry Dętej, która nosi imię swego twórcy i należy do nielicznych tego rodzaju zespołów o długich tradycjach i odnoszących często duże sukcesy. Syn działacza kulturalnego i organisty w kościele Św. Jana Chrzciciela w Łącku, jest rektorem Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, profesorem jej Wydziału Kompozycji, Dyrygentury i Teorii Muzyki. Dał się namówić na osobiste zwierzenia, wspomnienia i opowiadanie o karierze wykonawcy, kompozytora, pedagoga.

Skąd i jak dawno temu Morytowie trafili do Łącka?

Rodzice mojego Ojca, Jan i Anna mieli gospodarstwo w Słupcu nad Wisłą, a także jedenaścioro dzieci. Mój dziadek Konstanty, ojciec matki, był kupcem (wywodził się z rodziny polskich Tatarów). W latach trzydziestych ubiegłego wieku otworzył w Łącku sklep, wielobranżowy - według dzisiejszych określeń. W 1934 r. zbudował dom. Babcia Helena z domu Wantuchowa, pochodziła z podkarpackich Ciężkowic. Wywodziła się z rodziny osadników niemieckich. Tak więc po wybraniu miejsca na życie, jedna z jej córek - moja mama - Helena Smajkiewicz, wychodząc za mąż za muzyka, organistę Tadeusza Moryto, miała nadzieję na życie bez większych trosk.

Jednak chciałbym wiedzieć jeszcze więcej o Rodzicach - Helenie i Tadeuszu. Czy był Pan jedynakiem?

Z trojga rodzeństwa: młodszy bracia Wacław i Tadeusz Witold - niestety, nie żyją, najmłodsza, kochana siostra Cecylia mieszka w Nowym Sączu. Mama Helena - zmarła w styczniu 2009 roku - urodziła się w miejscowości Liszki, koło znanego z opactwa benedyktynów Tyńca, który dziś jest w granicach Krakowa. Zawsze Ją podziwiałem za to, że nie chciała być tylko „przy mężu”. Skończyła z maturą szkołę średnią i kilkadziesiąt lat do emerytury była telefonistką w łąckiej poczcie. Ojciec Tadeusz, zmarł w 1969 r., od lat młodzieńczych miał zamiłowania muzyczne. Był wychowankiem świetnej szkoły dla organistów prowadzonej przez księży salezjanów w Przemyślu. Przed szkołą uczył się prywatnie u Krzysztofa Borzędowskiego w Szczucinie, kompozytora i filozofa, nauczyciela światowej sławy dyrygenta Witolda Rowickiego.



Stanisław Moryto

Czyli ojciec zaszczepił w Panu muzykę, ale nie od razu wiadomo było, że będzie to muzyka organowa, komponowanie utworów na ten instrument i chóry, na koncertowanie w wielu krajach świata.

Wszystko co muzyczne w naszej rodzinie zaczęło się od tego, że dziadek Jan, z zawodu krawiec, po powrocie z emigracji zarobkowej w USA (na początku XX wieku), był święcie przekonany, iż zawód organisty to pewny chleb i spokojne życie. Ojciec po skończeniu szkoły w Przemyślu, był organistą w Łodzi i na Wołyniu a po odbyciu służby wojskowej, rok przed wybuchem wojny, w sąsiedniej Kamienicy. Po kampanii wrześniowej w 2 pułku strzelców podhalańskich i ucieczce z niewoli, do której trafił pod Lwowem, powrócił do rodzinnego Słupca. W 1940 roku jego kolega Franciszek Gryziec, organista w Jazowsku, napisał mu, że w Łącku jest wolna posada. Ojciec złożył ofertę, a ksiądz dziekan Józef Put po rozmowie „kwalifikacyjnej” od ręki zatrudnił go jako organistę. Mam wielki szacunek dla Ojca, który potrafił zarazić miłością do sztuki i muzyki wielu ludzi. Członkowie orkiestry, którą stworzył „z niczego”, bardzo dobrego chóru parafialnego oraz zespołu teatralnego, a taki też prowadził, przychodzili na próby i występy o każdej porze roku, pokonując niejednokrotnie kilkanaście kilometrów. Imponowała mi jego wiedza fachowa, mądrość życiowa i umiejętność pracy z ludźmi. Pewnie we mnie coś z Niego zostało...

A więc Pana rodzina wrastała w środowisko łąckie, jak typowe „ptoki”, a Pan wywędrował znad Dunajca. Gdzie był pierwszy przystanek?

Przyszłość wybrał mi Ojciec. Początkowo uczył mnie gry na fortepianie, a później na organach. Uczył mnie też harmonii i improwizacji, a następnie - jak wielu muzyków pochodzących z tamtych stron - uczęszczałem do szkoły muzycznej w Nowym Sączu, w klasie fortepianu profesor Janiny Wojtas. Ojciec przyjaźnił się z moim późniejszym mistrzem - Feliksem Rączkowskim. Rączkowski ze swoją rodziną, od drugiej połowy 1944 roku do końca wojny, mieszkał w Łącku. On to poradził moim rodzicom bym zdawał do Państwowego Liceum Muzycznego w Warszawie. Po ukończeniu tej szkoły zdecydowałem się na studia muzyczne w stołecznej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, właśnie u profesora Feliksa Rączkowskiego, który mnie wypromował w 1971 roku na magistra sztuki w zakresie gry organowej. Niedługo potem, bo w 1974 roku zrobiłem dyplom w klasie kompozycji u drugiego mojego mistrza, a później przyjaciela - profesora Tadeusza Paciorkiewicza, znakomitego kompozytora i byłego rektora PWSM.

A Pana żona i dzieci, to także muzycy?

Owszem, ale tylko żona Bożena Rzepkowska jest z zawodu muzykiem. Jednak dwie córki poszły swoimi drogami. Dorota ukończyła warszawską Akademię Sztuk Pięknych, na Wydziale Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki. Jest konserwatorem zabytków, głównie starej sztuki sakralnej - od fresków i malowideł, po zabytkowe obrazy ołtarzowe, rzeźby, organy, ambony - nie tylko w wielu znakomitych kościołach w Polsce - w Malborku, Koprzywnicy, Łowiczu, Gończycach, Grabowcu, w mazurskich Bartoszczykach, a także zabytkowych mebli w warszawskim pałacu w Wilanowie. Ma też w dorobku własne prace malarskie w technice olejowej i pastelowej oraz książkę z cyklem opowiadań pt. „Diabeł udomowiony”. Z powodzeniem swoje umiejętności konserwatorskie wykorzystwała w Baganarti i Dongoli w dalekim Sudanie. Młodsza córka - Agata,

poznała trud gry na skrzypcach, początkowo studiowała filologię klasyczną na Uniwersytecie Warszawskim, ale skończyła warszawską Akademię Sztuk Pięknych. Jest znakomitym grafikiem. Wiele okładek moich płyt i partytur to Jej projekty.

Kiedy miał Pan okazję pierwszy raz wystąpić przed publicznością jako wykonawca?

Moje publiczne koncertowanie zaczęło się od przesłuchań i popisów uczniowskich jeszcze w Nowym Sączu. Pamiętam z tamtego okresu koncert we Floriance (aula PWSM) w Krakowie - już wtedy organy były w planie moich zainteresowań. Jeszcze nie wiedziałem, że będą moim najważniejszym instrumentem. Tym bardziej nie przychodziło mi na myśl, że będę koncertował w wielu krajach, ani że będę profesorem, wykładowcą, dziekanem, prorektorem i rektorem jednej z najważniejszych uczelni muzycznych w Polsce i jednej z najstarszych na świecie.

Ale dlaczego wybrał Pan organy, instrument ogromny, do niedawna najczęściej zabytkowy, muzykę o wielowiekowych tradycjach i w zasadzie przeznaczony do wielkiej muzyki sakralnej, we wnętrzach starych katedr i kościołów, a przecież także do wykonywania utworów nieliturgicznych, wirtuozowskich, wielu świetnych kompozytorów.

Gra na organach, właśnie na tak ogromnym instrumencie i w jeszcze bardziej ogromnych wnętrzach, to było dla mnie wielkie wyzwanie. Dla wykonawcy fascynująca przygoda, a ponadto otwierały się przede mną możliwości koncertowania w takich miejscach i dla takiej publiczności, której nie mają inni instrumentalisci. Mam za sobą kilkaset koncertów, przyznaję, że nieraz się po prostu bałem, żeby moja przygoda nie skończyła się gigantyczną wpadką. Nie sposób zapomnieć wielu takich sytuacji, ale mogę powiedzieć, że mam i takie koncerty w swoim dorobku, które zaliczam do najważniejszych. Koncertowanie na organach zacząłem już w czasie studiów, a potem były liczne podróże artystyczne i udział w bardzo wielu festiwalach krajowych i międzynarodowych.

Skorzystam z okazji i spytam o te emocje, o koncerty uznawane przez Pana za przygodę wykonawczą. Gdzie kiedy to się wydarzyło?

W kraju niezapomniany dla mnie koncert w 1974 roku, na którym było ponad 3 tysięcy słuchaczy, to koncert w Katedrze w Oliwie, na sławnych organach z XVIII wieku, gdzie od 1958 roku organizowane są Międzynarodowe Festiwale Muzyki Organowej. Ten koncert był rejestrowany przez Polskie Radio. A za granicą, to koncert w Sali Mozarta w Wiedniu. Grałem na organach, była wykonywana moja kompozycja na głos i orkiestrę, a na dokładkę jeszcze dyrygowałem, choć nie byłem na to przygotowany. Miałem szczęście i umiejętności mnie nie zawiodły, a trema nie przeszkodziła. Takich koncertów i przeżyć mam wiele we wspomnieniach.

W dorobku każdego artysty, wykonawcy, uczestnika festiwali muzycznych i kompozytora ważne są osiągnięcia, uzyskane nagrody przyznane przez jurorów i sądy konkursowe.

To za każdym razem surowy egzamin. Nie będę wymieniał swoich wyróżnień po kolei, a tylko dla przykładu wspomnę o nagrodach jakie uzyskałem. Moje kompozycje znalazły uznanie i są wykonywane na koncertach i festiwalach muzycznych w bardzo wielu krajach Europy,

Ameryki Północnej i Azji. W 1975 roku uzyskałem I nagrodę w Konkursie Młodych Kompozytorów ZKP w Warszawie, za „Nokturn na baryton i orkiestrę kameralną”, w 1978 roku III nagrodę w Konkursie im. Artura Malawskiego w Krakowie za „Ilustracje na baryton i zespół kameralny”, uzyskałem nagrody w konkursach kompozytorskich w Białymstoku (1981, II nagroda), w Konkursie Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych w Warszawie (1987, III nagroda za „Aforyzmy na sopran i zespół kameralny”). W latach 1982-1987 pięć razy nagradzano mnie w konkursie kompozytorskim Warszawskiego Oddziału Związku Kompozytorów Polskich. W 1995 r. zostałem uhonorowany indywidualną Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki. Wypada mi wymienić jeszcze Nagrodę miasta Legnicy w 2000 roku i w 2008 roku Nagrodę im. św. Brata Alberta.

Czym się Pan zasłużył pięknemu miastu nad Kaczawą, uznanym za „stolicę polskiej miedzi”?

Zostałem zaproszony w 1971 roku do tego miasta o wspaniałych tradycjach muzycznych, teatralnych, z pięknym rodowodem historycznym i jednym z najważniejszych na Dolnym Śląsku ośrodków bogatego życia kulturalnego. Miałem koncert na przepięknych, zabytkowych organach w kościele pod wezwaniem Marii Panny. To było dla mnie przeżycie, które zaowocowało wieloletnimi kontaktami z tym miastem. Jej wynikiem jest Legnickie Conversatorium Organowe. Chyba mogę tak powiedzieć - przyczyniłem się do rozgłosu i dużego znaczenia tego festiwalu, który obecnie jest uznawany za wydarzenie muzyczne i to w skali międzynarodowej. Dla tego miasta skomponowałem również ważną w moim dorobku kompozytorskim „Mszę Legnicką”.

Zatem wypada przynajmniej wspomnieć o Pana podróżach artystycznych, udziale w nagraniach muzyki organowej dla rozgłośni i wytwórni płytowych, w festiwalach i koncertach w Polsce i za granicą.

Na mapie Europy moje spotkania z publicznością w salach koncertowych, kościołach, studiach nagrań - to mnóstwo miejsc, które mają dla mnie duże znaczenie i jako istotne wydarzenia zaliczam je do dorobku artystycznego. Nie będę opisywał ze szczegółami, ale koncertowałem wielokrotnie, m.in. w Austrii, Czechach, Bułgarii, Belgii, Finlandii, Danii, Hiszpanii, Niemczech, na Węgrzech i we Włoszech. W mojej działalności koncertowej i kompozytorskiej ważne miejsce zajmują nagrania dla rozgłośni radiowych i wytwórni fonograficznych. Są to m.in. Polskie Nagrania, Polonia Records, MTJ, Acte Préalable, Dux, Musica Sacra Edition, HZ Edition BeArTon, Sonoton Pro-Viva. Moje kompozycje są zarejestrowane na kilkudziesięciu płytach, z których siedem to płyty autorskie.

Jaki był i jest Pana udział w życiu muzycznym Łącka?

Przyznaję - niewielki. Już jako uczeń szkoły podstawowej pod batutą Ojca grałem w orkiestrze łąckiej, która nosi Jego imię. Z czasem, niestety, mój udział w tym zespole znacznie zmalał, aż do zupełnego zaniku aktywności. W miarę możliwości utrzymuję kontakty z orkiestrą, ale mój intensywny tryb życia muzyka koncertującego, praca twórcza, a potem pełnienie funkcji akademickich zajmują mi bez reszty czas. Od 1996 roku jestem profesorem w Katedrze Kompozycji Akademii Muzycznej w Warszawie do 2005 roku, byłem jej prorektorem i dziekanem Wydziału Kompozycji, Dyrygentury i Teorii Muzyki. W latach 2005-2008 pełniłem z wyboru

funkcję rektora naszej Akademii Muzycznej, a teraz ponownie wybrany, nadal będę pracował na tym zaszczytnym stanowisku jako rektor Uniwersytetu Muzycznego. Ponadto uczyłem w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych im. Józefa Elsnera w Warszawie. Z tego wynika, że moje rodzinne strony odwiedzam rzadko i najczęściej były to - do Jej śmierci w 2009 roku - spotkania z Matką.

Niewielu kompozytorów i wykonawców muzyki poważnej zajmuje się intensywnie... wydawaniem utworów organowych oraz utworów współczesnych kompozytorów polskich oraz utworów o znaczeniu historycznym, nierzadko skomponowanych przez nieznaną autorów kilkaset lat temu.

To prawda, ale przypominanie i popularyzacja zabytków muzyki polskiej, to także ważna dziedzina działalności, faktem jest, że bardzo specyficzna i zajmują się nią nieliczni. To są pozycje bardzo ważne dla naszej kultury muzycznej, a często budzą duże zainteresowanie daleko poza Polską. Są to serie wydawnictw historycznych, uznanych za wydarzenia, m.in. Krakowska Tabulatura Organowa z I połowy XVI w. (2 tomy), Gdańska Tabulatura Organowa z 1591 roku czy Warszawska Tabulatura Organowa z XVII w. Jestem ich współredaktorem, a także cyklu wydawnictw „Pierwodruki Muzyczne Kompozytorów Polskich”.

Z czasem nauczyciel akademicki, a zarazem wykonawca i kompozytor, sumuje swój dorobek nie tylko liczbą własnych utworów, ale również liczbą uczniów, wykonawców, kompozytorów wchodzących w świat muzyki.

Oczywiście, z biegiem czasu trzeba sobie to wszystko podliczać. Jestem opiekunem studentów i doktorantów przygotowujących prace dyplomowe i doktorskie. Pracuję na Wydziale Kompozycji, Dyrygentury i Teorii Muzyki, według zgodnej opinii wielu osób z zewnątrz - najbardziej elitarnym wydziale w mojej uczelni. Większość zajęć odbywa się tutaj w systemie indywidualnym. Dlatego tak jak kiedyś w tradycyjnych cechach rzemieślniczych, najważniejszy jest „układ: uczeń - mistrz”. To system sprawdzony od lat. Od 1996 roku miałem kilkunastu uczniów, których z powodzeniem doprowadziłem do dyplomu, spośród nich troje - Weronika Ratusińska, Miłosz Bembinow, Michał Sławecki - zostało pracownikami naszego Uniwersytetu Muzycznego. Moi uczniowie są cenionymi muzykami, zdobywcami ponad 40 nagród na wielu konkursach w kraju i za granicą, m.in. w Czechach, Stanach Zjednoczonych, we Włoszech, Bułgarii.

Panie Profesorze we wspomnianym spisie Pana dorobku muzycznego i kompozytorskiego znalazłem utwory, które mają - jeśli tak można powiedzieć - korzenie z Kurpiowszczyzny. A Sądecczyzna, a Podhale, a rodzinna Ziemia Łącka?

Istotnie, nie da się ukryć, że sięgnąłem do tradycji muzycznych daleko na północ Polski, daleko od rodzinnych stron. I zaliczam te kompozycje do najważniejszych w mojej działalności kompozytorskiej. Jest to np. „Siedem pieśni kurpiowskich” na mezzosopran i fortepian z 2006 roku czy kolejny zbiór „Pięć pieśni kurpiowskich” z 2008 roku - utwory na chór mieszany a cappella. Jestem przekonany, że muzyka Kurpiowszczyzny jest bardziej urozmaicona, bardziej

oryginalna niż muzyka góralska, podhalańska, a nawet łąckich górali białych. Nie ujmując nic tej ostatniej, ma wiele zaskakujących zwrotów, jest bogatsza pod względem muzycznym. Mam też w dorobku „kurpiowskim” jeszcze jeden cykl - 5 pieśni kurpiowskich na chór żeński a cappella z 1997 roku.

Proponuję zmianę tematyki Pana zwierzeń jako muzyka, kompozytora i pedagoga, wydawcy i redaktora zabytkowych utworów muzycznych z odległych czasów. Czy jest Pan kolekcjonerem, czy uprawia Pan „działkę” zbieracza, poszukiwacza osobliwości. Jakie to są tematy? A może kolekcjonuje Pan dalekie lub nawet egzotyczne podróże?

Kiedy odwiedziłem Litwę, zwróciły moja uwagę figurki Chrystusa frasobliwego. I zacząłem je zbierać, gdzie tylko mi się zdarzy je znaleźć. Oczywiście, w Polsce jest to temat dość popularny wśród rzeźbiarzy, świątkarzy i pamiątkarzy. Mam już wiele takich figurek, ale nie każdą chcę mieć za wszelką cenę, wybieram, porównuję, czyli wybrzydzą. Jako muzyk zbieram też nagrania płytowe. Podróże - uzbierało się ich wiele, ale najczęściej były to wyjazdy na koncerty i festiwale. Nie mam za dużo czasu na wycieczki, podziwianie krajobrazów, przyrody, zabytków, ale nie rezygnuję całkiem z takich przyjemności. Te podróże pozwoliły mi poznać wielu ciekawych ludzi i wiele pięknych miejsc na świecie.

Dzieciństwo spędzone w górach ma Pan „w sobie”, czy zajmuje Pana zwyczajna turystyka piesza, może rowerowa – wszak nie zawsze góry są dostępne z powodu braku czasu, aby do nich dotrzeć i rodzaju zajęć zawodowych.

Niestety, te rodzaje czy też dyscypliny turystyki uprawiam rzadko, najczęściej wędrówki piesze, po płaskim terenie, dla zdrowia. Rodzinne okolice bardzo się zmieniły na niekorzyść. Coraz bardziej odpychają mnie swoim wyglądem. Uważam je za „zanieczyszczone”, zabudowane bez poszanowania tradycji, a budowanie domów byle jakich na długie lata- to okropna rzecz. Przyznam szczerze, od krajobrazów w Beskidach wolę te jeszcze zachowane jako naturalne na Spiszu. W dawnych latach, konkretnie pięćdziesiąt lat temu, okolice Łącka były dla mnie i wielu innych - piękne. Tego piękna już nie ma, zostało zniszczone. Potoki brudne, ryby i raki wyginęły, łąckie sady marnieją, przetrzebiono lasy. Przykro mi, ale to już nie jest mój świat, kiedy to z braćmi łapaliśmy w rzekach pstrągi „na rękę”. „Ale to już było, i nie wróci więcej...” - jak brzmią słowa i melodia popularnej ballady.

Dziękuję za rozmowę.



© Tomasz Kowalik
maestro@maestro.hb.pl

Pierwodruk: Almanach Łącki nr 1 - maj 2009